NUMER 19. LWÓW, DNIA 15. LISTOPADA 1904. ROK I.

PROMYK

Prenumerata wraz z przysyłką wynosi:
w Austryi rocznie 2 K, półrocznie 1 K, kwartalnie 50 hal.
W Królestwie 2 ruble.
W Niemczech 2 marki.
We Francyi i w Szwajcaryi 3 franki.
W Ameryce pół dolara.

Numer pojedynczy 10 halerzy.



Pismo ilustrowane dla młodzieży i dzieci.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów. Miłkowskiego 11.

Z pamiętnika Józia Gajka

ucznia I. klasy gimn.

(Ciąg dalszy).

Ale w tem Kubuś rzucił się na nią i choć był mały, wpadł jak kula armatnia. Ciotka przewróciła się od zamachu, wpadła pod ławkę i zaczęła wrzeszczeć, a Kubuś chwycił Jasia i wybiegł z izby. Dopiero, jak był na polu, zrobiło mu się straszno. Co on teraz zrobi? Gdzie się podzieje? Przypomniał sobie sąsiada, przecie ten sąsiad zawsze z tatusiem dobrze żył, więc tam poszedł. Sąsiad ich przyjął, dał im słomę do spania, ale powiedział: Dzisiaj się przespijcie, ale jutro macie mi się wynosić! Jak was ciotka trzymać nie chce, to i ja was trzymać nie będę. Więc oni tam spali, a nad ranem wyszli i Kubuś poszedł z Jasiem ku ciotce, bo myślał, niech mnie ta już wybije, nie mam gdzieindziej pójść, ale ciotka wyleciała z kijem: kazała im precz iść, kiedy się śmiał na nią rzucić.

Więc Kubuś prędko odszedł i myślał, że tak lepiej, bo by pewnie ciotka Jasia zamęczyła. I myślał, gdzie on ma teraz iść? We wsi już nie ma co robić, bo go już nikt nie przyjmie, więc chyba do miasta. I zaczął iść z Jasiem do miasta. Z daleka widać było wysokie wieże i mury. A Kubuś myślał: O miasto, miasto! Jak ja sobie dam rady w tobie? Taki mały i z Jasiem! Dorosłe chłopy nie mogą w tobie roboty znaleźć, a czy ja znajdę? I tam trzeba gadać z ludźmi, a ja nie umię gadać! Ale muszę się starać dla Jasia!

I oni szli, a choć to było niedaleko, to przecie już słońce zachodziło jak przyszli, bo Jaś był zmęczony i musieli odpoczywać. A po drodze, to Kubuś kupił w karczmie 2 kawałki chleba dla siebie i Jasia i wyjął centy z węzełka i karczmarka wszystkie wzięła i on wiedział, że się tyle nie należy, ale cóż miał robić, karczmarka była duża, a on był mały. A jak tylko przyszli, zaraz Kubuś wstąpił do warsztatu, gdzie widział chłopców małych, pracujących, i spytał o robotę. A potem w drugim i trzecim, ale go nigdzie nie przyjęli, jeszcze się śmieli, że z takim bębnem na robotę się wybiera. Więc Kubuś szedł smutny i już nie wiedział, co ma robić i już noc nadchodziła, a on okropnie żałował, że się porwał na ciotkę, bo byłaby Jasia wybiła, ale by miał choć gdzie spać.

I już całą siłą wstrzymywał się od płaczu i szedł ciągle dalej i już zaszedł w małą uliczkę, gdzie mało było ludzi i tylko jeden pan tam szedł. To Kubuś myślał, niech się stanie, co chce, ja przystąpię do tego pana i wszystko opowiem. Już chciał to zrobić, gdy w tem wypadło z sieni na tego pana trzech ludzi obdartych, jeden go chwycił za gardło, drugi za ręce, a trzeci wyjął z kieszeni zegarek, pulares i inne rzeczy. A potem puścili tego pana i on zaczął prędko uciekać.

I Kubuś chciał uciekać, ale nie mógł, bo taki go strach zdjął, tylko stał w miejscu, trzymał mocno Jasia i trząsł się. Wtem złodzieje zbliżyli się ku niemu i wtedy Kubuś krzyknął głośno: Zlitujcie się! Nie róbcie nic złego! i zaczął płakać i Jaś też zaczął płakać. Ale jeden ze złodziei powiedział: Nie bójcie się mikrusy, my wam nic nie zrobimy! Czy wy macie zegarek, albo pieniądze? I zaczął się śmiać. A drugi powiedział: Nas się nie bójcie, lepiej się policyanta bójcie, bo jak ten was znajdzie, zaraz was gdzieś zaprowadzi. I wtedy Kubuś uspokoił się i po-

wiedział złodziejom, że nie ma gdzie spać z Jasiem. A jeden ze złodziei namyślał się chwilę, a potem powiedział: No, to chodźcie z nami! I oni poszli i szli przez kilka małych uliczek, aż do jednego płotu, i złodzieje otworzyli furtkę w tym płocie i weszli tam, a potem do jakiejś sieni, czy piwnicy i zapalili łojówkę i dali dzieciom trochę słomy do spania, a jeden złodziej był bardzo wesoły, otworzył szufladę i dał dzieciom kawałek chleba i sera i im to bardzo smakowało. I Jaś zaraz zasnął, ale Kubuś nie spał, bo przypominały mu się różne straszne historye o zbójach i złodziejach, więc całą noc czuwał i uważał na Jasia. A raniutko obudził Jasia i po cichutku wyszli. (C. d. n.)

G. Daniłowski.

Stare dzieje.

Urywek z powieści „Z minionych dni", przedrukowany za zezwoleniem autora.

(Dokończenie).

Wiktorek wgramolił się z pieńka na kasztankę, ale po chwili zawrócił z drogi i przypomniał Postańskiemu, że ma go uczyć konnej jazdy.

Postański podłużył mu strzemiona, kazał zebrać cugle w palcach lewej dłoni, wykręcił w odpowiedni sposób nogi, mocnym szturchańcem wyprostował mu grzbiet i przycisnął łokcie do żeber.

— No, teraz marsz! — huknął.

Wiktorek ruszył kłusa, i nie zmieniając pozycyi, choć mu było nadzwyczaj niewygodnie, dojechał tak do domu.

Na trzeci dzień przed wieczorem z Trupca, w stronę Samomęk toczył się drabiniasty wóz, wyładowany narzędziami i gospodarczemi statkami; z tyłu biegła luzem kasztanka. Na przodku, na worku, wypchanym słomą, siedział doktór, a przy nim, jak szyszka przy dębie, rozradowany Wiktorek, w charakterze furmanka. Dwa gniade, pękate, jak ogórki koniki, drobiły szparkiego truchta. Doktór milczał posępnie, a Wiktorek, ćwikając batem w powietrzu, pokrzykiwał wesoło: „wio, hej"! i zwracając do starca zarumienioną, ogorzałą twarzyczkę, powtarzał:

— To chyba, panie, araby, bo idą jak wiatr!

- Prędzej świnie! — cisnął przez zęby doktór.

Ale nie przekonał chłopca, który z fantazyą zajechał na dziedziniec, i przeginając się w tył, rozpaczliwem: „prru"! zatrzymał konie.

Doktór wyładował wóz, pownosił zakupione narzędzia do chaty, potem usiadł na przyzbie, i sparłszy wielką głowę na potężnych dłoniach, zamyślił się głęboko, wpatrując się w spadający coraz niżej promienny krąg słońca w tabunach ognistych obłoków.

Wiktorek tymczasem kręcił się około koni, rwał garściami trawę, próbując karmić je z ręki, wycierał słomą kopyta, układał po arabsku kołtuniaste grzywy, w końcu podbiegł do doktora i rzekł:

— A możeby tak Beduina i Pustynię spróbować w pługu?

Doktór drgnął, jak zbudzony.

— Co mówisz? — spytał.

— Żeby konie i pług wypróbować — powtórzył nieśmiało Wiktorek.

— A no! — rzekł po namyśle doktór — dobrze! Dziś jeszcze oboramy granicę — dodał żywiej. Założono konie do sochy. Postański ujął w żelazne dłonie capigi i zakomenderował:

— Bierz konia przy pysku i prowadź równo!

Wiktorkowi zaś przypomniał się zaraz Rzym, Romulus i Remus i cała ich historya.

Z tajemnym dreszczem ujął drżącą rączką uździenicę parcianą, a piwne źrenice stanęły mu w ogniu.

— Wio!... — krzyknął gromkim głosem doktór.

Konie wygięły grzbiety i ruszyły razem.

Posuwali się tak wolno w krwawych łunach zachodu. Lekki wiatr wichrzył czarne kędziory chłopca, który szedł, jak w zachwyceniu i targał białe włosy poważnego starca, o bronzowej, marsowej twarzy rycerza.

Poczęły ciągnąć stadem gwarne kawki.

A Wiktorkowi się zdawało, że są to owe drapieżne ptaki chwały, które wróżą jednemu z założycieli nowej stolicy świata panowanie, a drugiemu przedwczesny zgon i serce tłukło mu się w piersiach porywczem tętnem.

W kamiennych rysach Postańskiego odbiło się również pewne wzruszenie.

W ciągu owych pamiętnych wakacyi, Wiktorek niemal całe dni spędzał w Samomękach i był nieraz doktorowi istotnie przydatny.

Postański posiadał olbrzymie siły i umiał zrobić prawie wszystko, ale są czynności, których samemu niepodobna wykonać i tu dłonie dziecka stanowiły pomoc skuteczną.

Dla Wiktorka zaś stawianie prawdziwej stajni, oranie naprawdę, karczowanie pni w „pampasach" pokrzywy, czyszczenie i pojenie arabów, a zwłaszcza sposobność użyczania rad i pomocy, stosunek z takim panem Postańskim, układanie z nim wspólnych planów na przyszłość, oglądanie rezultatów celowej, owocnej pracy — wszystko to posiadało urok niewymowny.

Alfons Daudet (czytaj Dode).

Nadzwyczajne przygody imci pana Tartarin'a z Taraskonu.

(Z francuskiego).

CZĘŚĆ II. U „TURKÓW".

I. Przeprawa. (Ciąg dalszy.)

Czy wiesz kochany Czytelniku, czego pragnąłbym najgoręcej w tej chwili? Chciałbym być malarzem, wielkim, genialnym malarzem!

Wyrysowałbym Ci pięć szkiców wspaniałych: portret imci pana Tartarina z Taraskonu w fezie, w pięciu odmianach.

Szkic pierwszy. Port w Marsylii. Bohater wsiada na pokład „Żuawa". Jakże dumnie, pięknie, wzniośle wygląda! A fez czerwony otacza jak aureola najdroższą głowę Taraskonu!

Szkic drugi. Okręt opuszcza port i kołysze się na falach. Bohater blednie, drży... pierwsze ślady choroby występują na jego twarzy.

Szkic trzeci. Golf Lwa. Przestrzeń między lądami zwiększa się — fale coraz to większe, „Żuaw" kołysze się silnie. Fez wciśnięty mocno na głowę, walczy z wichrem i burzą. Błękitny kutas zwisający zawsze tak spokojnie — staje się igraszką wiatru: sterczy prosto do góry, patrząc ciekawie we mgłę...

Szkic czwarty. Szósta godzina wieczorem. Okręt zbliża się do Korsyki

Szkic piąty i ostatni. W kącie ciasnej kajuty stoi małe łóżko. Na niem jakaś bezkształtna masa, wijąca się rozpaczliwie, a fez, który patrzał tak dumnie i tryumfująco w chwili odjazdu — mocno naciągnięty na uszy, przemienił się w.... szlafmycę... Z za czerwonego obramowania wygląda twarz biała, znękana bolem...

O gdyby Taraskończycy mogli widzieć wielkiego Tartarina, jak leży na swojem łóżku niezwykle podobnem do stołowej szuflady! Gdyby mogli ujrzeć go przy bladem, przyćmionem świetle, które pada przez małe, okrągłe okienko kajuty, gdyby widzieli, jak go męczy stęchła woń okrętowego powietrza i zapach potraw, który dolatuje go z kuchni, jak głucho jęczy przy każdym obrocie śruby, jak błaga co 5 minut o herbatę, takim cichym, pokornym głosem!... Oh! gdyby rodacy widzieć to mogli! Jak strasznie cierpieliby, jak okropnie dręczyłoby sumienie tych, którzy bezmyślnem dokuczaniem zagnali go w odległe strony świata!

Ja, który opisuję dzieje nieszczęśliwego Turka, boleję głęboko nad jego losem. Straszna choroba morska ogarnęła go znienacka. Nie był wcale na nią przygotowany — nie miał nawet czasu pas swój odwiązać, ani umieścić zbroję w bezpieczne miejsce! Nóż myśliwski przygniatał mu pierś i oddech tłumił ciężką swą rękojeścią. Rewolwer ciężył mu na nogach...

Biedny Tartarin cierpiał męki nie do opisania i w dodatku słuchać musiał wesołe gwary innych podróżnych, które dolatywały go z wielkiej sali. O bezlitośne, cienkie ściany okrętowej kajuty! Przewodzicie szmer każdy! Tu człowiek ciężkim bolem złożony, wije się na małem, ciasnem posłaniu — a tam za ścianą, ludzie rozmawiają, śmieją się, bawią, jedzą, piją, w karty grają!

Gości bez liku znajdowało się na „Żuawie". Było tam kilku oficerów, kilka pań, kupcy, książę Montenegro, Mahomedanin, wracający z pielgrzymki do Mekki i wielu innych. Żaden z nich nie chorował. Żartowano i biesiadowano wesoło.

Nadszedł pamiętny trzeci dzień podróży. W kajucie Tartarina nic się nie zmieniło, tylko hałaśliwsze, zwiększone odgłosy dochodziły go z pokładu. Stuk wzmagał się, biegano tam i z powrotem, krzyczano, wołano, łajano — hałas nie do opisania!

Nieszczęśliwy chory człowiek, opuszczony w małej, biednej kajucie, czuł, że stało się coś niebywałego.

Coraz to głośniej. Ciężkie buty majtków stukają po pokładzie.

— Maszyna wprzód! Maszyna wstecz! — rozbrzmiewa silny głos kapitana.

– Maszyna stój!

Trzask! Okręt uderzył o coś silnie — wstrząsnął się straszliwie . . Potem — nagły spokój.... „Żuaw" kołysał się lekko, jakby unosił się w powietrzu...

Nagła cisza, która zapanowała po tak strasznym zamęcie, przeraziła Tartarina

— Topimy się! — jęknął zrozpaczonym głosem. W chwili tak strasznego nieszczęścia, odzyskał nagle dawne siły. Wyskoczył czemprędzej z łóżka, porwał za broń i wybiegł na pokład!

Kwiatki jesieni.

(Do ryciny na str. 158).

Wandzia była bardzo smutną i rozżaloną, bo nazajutrz przypadał dzień odjazdu ze wsi. Po raz ostatni tych wakacyi wyszła na łąkę i nazbierała cały olbrzymi pęk jesiennych kwiatków. Ziębła w ręce i tuliła te kwiaty do siebie. Biedne, jesienne kwiaty. Późno rozkwitły się z pączków. Pewnie nie wydałyby już nasienia, lub wydałyby takie nasienie, które nie mogłoby już dojrzeć jak należy. Wandzia zabiera ten pęk olbrzymi, jako pamiątkę ze wsi i lata.



Ostatnie kwiatki.

Ostatnie kwiatki jesieni
Kwitną na łączce,
Zerwałam je dziś z rana
I trzymam w rączce.

Znam ja kwiatuszek każdy,
Z każdym się pieszczę,
Złożę ogromny bukiet
I w wodzie umieszczę.

Kwiatek zwiędnąłbym w rączce,
Lecz w szklance wody
Ożyje i nie straci
Swej świeżej urody!

Gry towarzyskie.

Owczarz.

— Chodź pasterzu! chodź owczarku! — wołał Stach na Janka — chodź, oczy ci zawiążemy.

Rzeczywiście — Janek węzełek wyciągnął — miał być pierwszym pasterzem. Zawiązano mu oczy i wszystkie dzieci otoczyły go ciasnem kołem, trzymając się za ręce.

— Owczarzu, jak daleko pozwolisz mi odejść od siebie? — Pytała Mania.

— Na pięć kroków.

Mania odbiegła pięć kroków od miejsca, w którem stała.

— Owczarzu, jak daleko pozwolisz mi odejść od siebie? — zapytał Wicek.

— Na trzy kroki.

Wicek odszedł na 3 kroki od swego miejsca.

— Owczarzu, jak daleko pozwolisz mi odejść od siebie? — zapytała Helenka.

— Na dziesięć kroków.

Tak pytało każdo dziecko po kolei. Wreszcie przy owczarzu nikt już nie pozostał. Wszyscy porozmieszczeni byli po pokoju i każdy stał spokojnie na swojem miejscu, tam, gdzie mu owczarz stanąć pozwolił.

— Owieczki moje, owieczki moje, gdzieście się podziały?

— Meee! — zabeczały wszystkie owce na raz.

Pasterz puścił się w wędrówkę po pokoju. Oczy miał wciąż zawiązane, to też szedł zwolna, ostrożnie i torował sobie drogę rękoma.

Po drodze potrącił Wańdzię.

— Meee! — zawołała dziewczynka, zmieniając głos jak mogła.

— To Zosia! — odgadywał pastuch.

— Źle! źle!

Owczarz poszedł dalej. Po drodze potrącił Stacha

— Meee!

— To Wicek!

— Źle! Źle!

Biedny owczarz kłopot miał nie lada! Nie mógł rozpoznać swojej trzody.

Po kilku daremnych próbach, udało mu się wreszcie rozpoznać głos Mani.

— Dobrze! dobrze!

Janek zdjął prędko chustkę z głowy. Mania z kolei oczy zawiązała i grono rozbawionych dzieci otoczyło ją znowu ciasnem kołem:

— Owczarzu, jak daleko pozwolisz mi odejść od siebie?

Zgadywanie daty imienin.

W dniu imienin Irenki bawiono się wesoło.

— Bardzo lubię 14-ty listopada! — rzekła Irenka. — Tak u nas zawsze wesolo na moje imieniny!

— Ja także cieszę się zawsze z góry na 4-ty marca — rzekł Kazio.

— Oczywiście! Przecież to tak przyjemnie! Tylko szkoda, że taki dzień jest tylko raz do roku!

— Wolałbyś co najmniej dwa razy nie miesiąc?

— Albo trzy razy na tydzień?

— A twoje imieninki Jadwiniu, kiedy wypadają?

Jadwinia nie chciała powiedzieć.

— Nie powiesz? To sam zgadnę! — odparł Ludwiś rezolutnie.

— Dobrze! spróbuj!

— Z przyjemnością, tylko pomnóż datę twoich imienin przez 2.

— Już pomnożyłam.

— Dodaj 5.

— Już dodałam!

— Pomnóż przez 50.

— Strasznie zawikłany rachunek, ale już zrobiłam — rzekła dziewczynka po namyśle.

— Dodaj liczbę porządkową miesiąca, w którym są twoje imieniny.

— Już.

— Powiedz mi, ile ci wypadło?

— 1760.

Chłopak zastanowił się chwilkę. Potem wyrzekł z powagą:

— 15-ty października!

— Rzeczywiście! jakże zgadłeś?

— To rzecz prosta — rzekl Ludwiś — popatrz tylko jak to robię.

To mówiąc, wziął ołówek i kawałek papieru do ręki.

— Prosiłem cię, byś pomnożyła datę imienin przez dwa, prawda?

— Tak! $2 \times 15 = 30$.

— Otóż to: do 30 dodałaś 5, $30 + 5 = 35$. Potem pomnożyłaś przez 50, $35 \times 50 = 1750$. Dodałaś liczbę miesiąca.

— $1750 + 10 = 1760$. To jest cyfra, którą kazałeś sobie powiedzieć.

— Bo ta cyfra mieści w sobie wszystko, czego potrzebuję do odgadnięcia daty. Odciągam od niej 250 i zostaje mi 1510. Otóż dwie pierwsze cyfry dają liczbę dnia: 15-ty; dwie ostatnie — miesiąca: 10-ty, to znaczy 15-ty października.

— Jakież to śliczne, jakie śliczne! — zawołały dzieci chórem. Wyszukajmy teraz inną datę, np. 28-my kwietnia:

— Dobrze! $28 \times 2 = 56$

$56 + 5 = 61$

$61 \times 50 = 3050$

$3050 + 4 = 3054$

$3054 - 250 = 2804$

mamy więc 28-my dzień 4-go miesiąca, t. j. kwietnia.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Leonowi M. w Stanisławowie. Kochanemu Leosiowi nie mogliśmy podziękować za śliczną i tak miłą nam fotografię w ostatnim numerze — zabrakło miejsca po temu! Ucieszyliśmy się serdecznie obrazkiem wesołej trójki. Który Leoś? — sądzimy, że ten po środku. Dziękujemy też bardzo za zagadki. Skorzystamy chętnie z tak ładnego zbiorku — tylko dwie przedostatnie zanadto podobne są treścią i formą do poprzednio przysyłanych i drukowanych już szarad.

Janince R. we Lwowie. Janince też z braku miejsca nie pisaliśmy zeszłym razem. Cieszy nas, że Janince „Promyk" się podoba. Redakcya dowiedziała się, że Janinka jest grzeczną dziewczynką, która sprawia Rodzicom swoim dużo przyjemności. Miło nam bardzo, że Janinka umie tak ładnie deklamować!

Białej Lilijce we Lwowie. Zagadki otrzymaliśmy i dziękujemy za nie serdecznie. Czemu Lilijka tym razem zagadek nie odgadła? Czy może dlatego, że ostatni „Promyk" z powodu braku miejsca nie przyniósł jej odpowiedzi?

Mani H. w Przemyślu. List Mani doszedł nas, choć nie zdołaliśmy nań odpowiedzieć zeszłym razem. Zagadkę umieszczamy.

Ryszardowi A. w Zakopanem. Dziękujemy za pierwszy list. Pewnie zechce Ryszard teraz częściej do „Promyka" pisywać.

Abraham R. albo S. uczeń I. kl. gimn. przysłał nam prenumeratę kwartalną w markach i podpisał się tak niewyraźnie, że nazwiska jego odczytać nie możemy. Przytem nie podał wcale swego adresu, w obec tego nie wiemy, dokąd adresować pisemko. Prosimy go bardzo o dokładny adres, miejsce zamieszkania i wyraźnie napisane nazwisko.

Romci Z. we Lwowie. Dziękujemy Romci za list i zagadki.

Władysławowi B. w Stryju. Dziękujemy Władziowi za list. Ogromnie nas to cieszy, że „Promyk" podoba się Władziowi. Żądany numer posłaliśmy do Cioci.

Alfredowi H. w Kołomyi. Książeczki, o którą Fredzio pyta, nie mamy na składzie. Sądzimy, że dostanie ją Fredzio w każdej księgarni.

Kaziowi K. w Glinianach. Niepotrzebnie połamał Kazio zapałki — i bez tego można ułożyć z nich wielką rzekę. Czemu Kazio sam listu nie pisał? „Promyk" woli odczytać własnoręczne listy swoich Czytelników, chociażby nawet niewprawnie, koszlawo były pisane.

Adasiowi M. w Przemyślu. W zamian za pozdrowienie przesyła „Promyk" Adasiowi serdeczne uściski.

Irence F. w Machowej. Prosimy Irenkę bardzo o adres kuzynka Władzia i ściskamy Irenkę i Siasia serdecznie.

Dostaliśmy anonimowo wierszyk p. t. „Ptaszyna i dziecię", z którego skorzystać nie możemy z powodu kilku usterek. Zawiadamiamy zarazem Czytelników, że na żadne bezimienne listy odpowiadać nie możemy.

Wszystkim nowym Czytelnikom liczymy prenumeratę od 1-go października, o ile sami inaczej nie rozrządzą. Przyjmujemy oczywiście także prenumeraty

od 1. listopada lub grudnia, na przeciąg co najmniej 3 miesięcy.

Tosi S. we Lwowie. Dziękujemy bardzo za list Tosi i zagadki. Numer wysłaliśmy, należy się 10 halerzy, które Tosia może posłać w markach. Książeczki nie mamy na składzie — dostanie ją Tosia w księgarniach.

Wilhelmowi S. w Stryju. Wyszlemy wszystko razem, jak kalendarzyk wyjdzie drukiem,

Rozwiązanie zagadek Nr. 18 nadesłali:

Władysław B. ze Stryja, Alfred H. z Kołomyi, Adaś K. z Krakowa, Kazio K. z Glinian, Adaś M. z Przemyśla, Leon M. ze Stanisławowa, Maryan R. ze Stanisławowa, Izydor R, ze Lwowa, Romcia Z. ze Lwowa i Tosia S. ze Lwowa.

Książeczkę p. t. „Pisma poetyczne Mickiewicza“ dostaje Izydor R. ze Lwowa.

Rozwiązanie zagadek Nr. 18-go:

FIGIELEK

ułożony przez Romcię Z. ze Lwowa:

NIL.

SZARADA

nadesłana przez Leona M. ze Stanisławowa:

PA - DA - LEC.

ŁAMIGŁÓWKA

nadesłana przez Różową Różyczkę z Krakowa:

		A		
	o	s	a	
A	s	n	y	k
	r	y	k	
		k		

Zagadki.

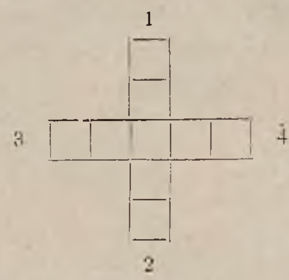
ŁAMIGŁÓWKA

nadesłana przez Leona M. ze Stanisławowa

Jest zwierz ciężarowy
Widzimy go często.
Zrób mu nogi z głowy
Będą domki gęsto.

SZARADA

nadesłana przez Manię H. z Przemyśla:



Wypisać w powyższe kwadraciki od 1—2 nazwę kraju i od 3—4 rzekę przez ten kraj płynącą.

ZAGADKA

nadesłana przez Tosię S, ze Lwowa.

1)	X	.	.	.
2)	.	X	.	.
3)	.	.	X	.
4)	.	.	.	X
5)	.	.	X	.
6)	.	X	.	.
7)	X	.	.	.
8)	.	X	.	.
9)	.	.	X	.
10)	.	.	.	X
11)	.	.	X	.
12)	.	X	.	.
13)	X	.	.	.
14)	.	X	.	.
15)	.	.	X	.
16)	.	.	.	X

1) Dopływ Dunaju
2) Sprzęt
3) Zwierzę
4) Przypadek
5) Dwunożne zwierzę
6) Góry w Ameryce
7) Rzeka na Węgrzech
8) Znajduje się w powietrzu
9) Miejsce przestronne w mieście
10) Pies myśliwski
11) Królowa polska
12) Pika
13) Basza
14) Kwas
15) Praca rolnika
16) Gospodyni domu

Litery skreślone w miejsce gwiazdek dadzą imię i nazwisko wodza polskiego z czasów wojen szwedzkich.

Nagrodę będzie stanowić tym razem książeczka z obrazkami do malowania.

Ilustrowany Kalendarzyk „Promyka“ wyjdzie drukiem w drugiej połowie listopada. — Cena 60 hal. — Dla prenumeratorów „Promyka“ wraz z przesyłką 50 halerzy.

Kącik dla małych dzieci.

Przygoda małej Lońci.

Nad morzem.

Lońcia pojechała ze swoją mamusią na wakacye daleko, daleko nad morze. Nad morzem jest pięknie i przyjemnie. Gdy się spojrzy przed siebie, widzi się tam tylko wodę i wodę, a na wodzie są wielkie fale. U brzegu morza jest okrutnie dużo piasku. Piasek ten jest zupełnie czyściutki, bo go morze co raz spłukuje. Dzieci nadzwyczaj lubią bawić się w tym piasku na słońcu. Malutkie dzieci robią sobie babki z piasku, lub przesypują go przez sito, a starsze kopią w nim łopatkami głębokie jamy. Od jamy do morza kopią potem rów. Woda morska rowem do jamy napływa i napełnia ją. Tak robią sobie dzieci swoje malusieńkie morza i puszczają na nie łódeczki i okręciki z blachy lub nawet z papieru. Nad morzem w piasku leży dużo rozmaitych muszelek, które woda na brzeg wyrzuciła. Dzieci lubią ogromnie zbierać muszelki, bawią się niemi i układają z nich rozmaite wzorki.

Gdy się wakacye skończyły, Lońci bardzo żal było opuszczać piękną nadmorską okolicę. Na pamiątkę zebrała sobie na piasku dużo muszelek. Przez parę ostatnich dni zbierała Lońcia te muszelki, tak że pełne pudełeczko ich schowała jej mamusia do kufra, by zawieść je do domu. Lońcia umówiła się z mamusią, że w domu podzielą te muszelki, część zostanie dla Lońci, a część daruje znajomym dzieciom, które morza i muszelek morskich nigdy jeszcze nie widziały.

W Berlinie.

Lońcia i jej mamusia jadąc od nas do morza i z powrotem, musiały przejeżdżać przez wiele krajów i miast. Gdy jechały z powrotem do domu, zatrzymały się w jednem z tych miast, w Berlinie i zostały tam przez parę dni. Berlin jest bardzo pięknem i wielkiem miastem. Ulice tam są szersze i dłuższe niż u nas, jest tam mnóstwo sklepów, a za wystawami widać rozmaite piękne rzeczy. Co tu sklepów z zabawkami!

Lońcia przed każdym stawała zdumiona i podziwiała lalki, naczynia, mebelki i inne ładne rzeczy, które tam widziała. Tylko przykro jej było, że w Berlinie wszyscy, nawet malutkie dzieci mówią po niemiecku i ona ich rozumieć nie mogła.

W zwierzyńcu.

Pewnego dnia chciała mamusia grzecznej swojej córeczce sprawić przyjemność, więc rzekła: tutaj w Berlinie jest ogromny ogród zoologiczny, czyli zwierzyniec. W tym ogrodzie trzyma się wszystkie najrozmaitsze zwierzęta i nasze i takie, które tylko w ciepłych krajach żyją.

— Naprawdę? — zawołała Lońcia — a czy jest tam lew mamusiu?

— Z pewnością.

— A tygrys?

— Też.

— A małpy?

— Są i małpy, i słonie, i niedźwiedzie i krokodyle, i ptaki i węże i papugi — wszystko.

— Chodźmy tam mamusiu moja kochana, chodźmy już prędko, bo jestem bardzo ciekawą. Lońcia biegała po pokoju, ściskała i całowała mamusię — cieszyła się ogromnie. — Wezmę swoją nową piłeczkę od wujcia, żeby ją zwierzątka widziały!

Lońcia dostała od swego wujaszka, który mieszkał w Berlinie, śliczną, nową gumową piłkę. Lońcia cieszyła się nią bardzo i nazywała ją: „moja berlińska piłeczka."

Wzięła więc berlińską piłeczkę, wsiadła z mamusią na tramwaj i pojechały do zwierzyńca.

W zwierzyńcu ślicznie było. Najpierw zobaczyły mnóstwo rozmaitych papug. Jedna była niebieska, druga czerwona, trzecia zielona, czwarta żółta, każda inna. Ptaki te były na łańcuchach, więc ani podziobać nikogo, ani uciec nie mogły. Dalej stały wśród ogrodu ogromne druciane klatki i żelazne ogrodzenia. Za temi ogrodzeniami stały i przechadzały się rozmaite zwierzęta: Słoń z ogromną trąbą, nosorożec z rogiem na nosie i gruby niezgrabny hipopotam. Dalej były w osobnych klatkach lew i tygrys, dalej niedźwiedzie: jeden bronzowy, a drugi taki bialusi jak śnieg. We wielkich klatkach siedziały niedobre orły i sępy. Gdy się już Lońcia napatrzyła tym wszystkim stworzeniom, poprowadziła ją mamusia dalej. Za ogrodzeniem stały okropnie wysokie zwierzęta, nogi miały takie długie jak cały dorosły człowiek, a szyję także ogromnie długą, jeszcze dłuższą od nóg. Te zwierzęta byłyby się do zwykłego pokoju wcale nie zmieściły. Lońcia ze zdziwieniem popatrzyła na nie, przypomniała sobie obrazki z książek i zapytała mamusi: czy to żyrafy mamusiu?

Mamusia ucieszyła się bardzo, że jej córeczka sama żyrafę poznała.

Przygoda.

Lońcia jest małą dziewczynką, więc żeby żyrafę zobaczyć, musiała wysoko, wysoko do góry główkę podnosić. Gdy tak stała z podniesioną głowiną, nowa piłeczka wypadła jej z rączek i potoczyła się żyrafie pod nogi. Lońci zrobiło się bardzo przykro, ale nie sposób było piłeczki dostać. Mamusia próbowała wydostać ją parasolką, ale to się nie udało, a strażnika, który by ją mógł podać, nigdzie w pobliżu nie było. Lońcia z mamusią stały tak chwilę bezradne, a w tem żyrafa rozkraczyła przednie nogi, spu-

ściła długą swoją szyję, wzięła piłeczkę wraz z sianem ze ziemi do pyska i — połkła ją.

Lońci płakać się już chciało na ten widok:

— Brzydka, niegrzeczna żyrafa! — wołało dziecko z gniewem — zjadła mi nową berlińską piłeczkę!

Mamusi żal było córeczki, więc przyrzekła jej że jej kupi drugą taką samą piłeczkę. Mamusia wytłumaczyła Lońci, że żyrafa nie ze złości przykrość jej taką zrobiła. Żyrafa nie chciała Lońci nic złego zrobić. Jest ona dużem, ale bardzo niemądrem stworzonkiem, z głupoty i nieuwagi, wraz ze sianem zjadła piłeczkę, która jej samej też zaszkodzić może. Żyrafa może zachorować, bo przecież piłeczek kauczukowych się nie je!

Po tem wytłómaczeniu Lońcia nie gniewała się już na śmieszną żyrafę.

Zegarek.

— Puk, puk — zapukał ktoś do drzwi dziecinnego pokoju.

— Kto tam? — zawołały dzieci.

— To ja — rzekł dziadzio wesoło i wszedł do pokoju. Dziadzio ucałował dzieci i rzekł: winszuję Milence urodzinek, a to mój podarek dla was To mówiąc, pokazał dziadzio duże pudełko, które trzymał w ręku.

Dziadzio otworzył pudełko i wyjął — — — zegar z kukułką, który na ścianie w dziecinnym pokoju powiesił....

Co za radość!!

Była właśnie godzina dwunasta, małe drzwiczki na zegarze otworzyły się i malusia, drewniana, na niebiesko - szarawo pomalowana kukułeczka wychyliła się przez nie i zakukała dwanaście razy.

Radość dzieci była nie do opisania!

— Dziadzio — zapytał śmiało trzyletni Franek — a jak to się wie ze zegara, która teraz jest godzina?

— Patrzcie mi go — rzekł dziadzio wesoło — takie małe chłopczyki, jak ty, jeszcze nie umieją patrzyć się na zegar. A umiesz ty rachować?

— Umiem, rzekł śmiało chłopczyk:

— Raz, dwa, trzy, cztery, pięć.

— Brawo! To ty możesz już pięć godzin na zegarze poznawać, ale tylko wtedy, gdy kukułka kuka. Gdy kuka raz, to jest pierwsza godzina; gdy dwa razy — to druga; trzy — to trzecia; cztery — to czwarta; pięć — to piąta. Na zegarze jest więcej godzin, ale to już dosyć i ślicznie będzie, gdy mój mały wnuczek tyle pozna.

Mileńka słuchała uważnie tej rozmowy. Miała już pięć lat, bardzo chciałaby umieć patrzyć się na zegar.

Dziadzio zauważył zakłopotanie dziewczynki i rzekł:

— Milusia to co innego, ona jest już starsza i potrafi nie tylko rachować, która godzina bije, ale i odczytać godziny na zegarku. Weź Milusienko ołóweczek do rączki, połóż ćwiartkę papieru na stole. Dobrze tak. Teraz pokaż mi jeden paluszek. Tak. Narysuj jedną kreseczkę na papierze. Dobrze, teraz napisałaś sama „jeden“; jedna kreseczka, to znaczy „jeden“. Pokaż dwa paluszki Zrób dwie kreseczki; dobrze, napisałaś dwa. Teraz trzy paluszki — trzy kreseczki. Teraz cztery, napisz cztery kreseczki. A teraz pokaż mi pięć paluszków. Milusia pokazała całą rączkę, roztworzyła ją szeroko, tak, że po jednej stronie było cztery paluszki razem — po drugiej jeden paluszek. Rączka Milusi wyglądała tak V. Narysuj taki znaczek z jednej strony grubszy, jakby tu były cztery paluszki razem, z drugiej cieńszy, jak jeden paluszek. Widzisz, to znaczy pięć. Spojrz na zegarek — jest tu napisane I II III IIII V tak, jak ty napisałaś. Umiesz więc te znaczki czytać. Na zegarze jest więcej znaczków, ale za dużo by dla ciebie było, gdybyś się wszystkich odrazu uczyła. Te wystarczą. Na zegarze są dwie wskazówki. Jedna krótsza, druga dłuższa. Gdy chcesz wiedzieć, która jest godzina — patrz zawsze na krótszą. Gdy krótsza wskazówka jest na I — jest pierwsza, na II — druga i t. d. Gdy jest między pierwszą a drugą — jest wpół do drugiej.

Więcej dziadzio Milusi powiedzieć nie chciał, aby nie męczyła się zanadto.

— Dość tego na pierwszy raz — rzekł.

Milusia codziennie przypatrywała się zegarkowi uważnie i czytała te godzinki, które dziadzio jej pokazał.

Gdy mamusia po obiedzie pytała jej: która jest godzina Milusiu? Milusia biegła do zegara, przypatrywała mu się uważnie i mówiła:

— Trzecia.

Mała wskazówka była wtedy na trzeciej.

Z czasem Milusia przyszła sama na to, że pięć a jeden tj. sześć = VI; pięć a dwa — siedem = VII; pięć a trzy — osiem = VIII; że gdy pokaże paluszki obu rączek — będzie ich dziesięć. Krzyżowała wtedy rączki i pokazywała dziesięć paluszków odrazu: X.

Mamusia zwróciła jej uwagę na to, że X, to tak wygląda, jak obydwie rączki skrzyżowane.

Wszystkich literek na zegarku Milusia jeszcze nie znała, ale to już wystarczało, by była rodzicom pomocną. Gdy tatuś był zajętym i chciał wiedzieć, która godzina, prosiła go córeczka:

— Nie przeszkadzaj sobie, nie fatyguj się tatusiu, ja ci już powiem.

Stawała sobie przed zegarem i czytała uważnie godziny. Potem mówiła np.: „mała wskazówka jest na czwartej, a duża na dziesiątej“.

To już tatuś wiedział, która jest godzina.

Wydawc. i odpow. redaktorka: Jadwiga Czajkowska. Drukarnia Udziałowa we Lwowie, ul. Kopernika 20.